

Margueritte Duras

Mężczyźni

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4/5/6 (22/23/24),
297-302

1993

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Przechadzki

Margueritte Duras

Mężczyźni

Ludzie skłonni do uogólnień chętnie uznają moją *Chorobę na śmierć* za pierwotną wersję *Niebieskich oczu czarnych włosów*. Tymczasem *Choroba na śmierć* to oskarżenie, którego owa dłuższa książka wcale nie zawiera.

Wiele osób — od Petera Handke po Maurece'a Blanchota — dostrzegło w *Chorobie...* atak na mężczyzn za ich stosunek do kobiet. Niech im będzie. Powiadam jednak: skoro książka ta tak bardzo mężczyzn obchodzi, to dlatego, że jest w niej coś więcej — coś, co ich dotyczy w sposób szczególny. I znamienne jest, że to dostrzegli. Wymowne jest jednak również i to, że nie wszyscy zwrócili uwagę, iż mężczyzna ukazany jest tam nie tylko w jego odniesieniu do kobiet, lecz również — w odniesieniu do mężczyzn.

Mężczyźni to pederasci. Wszyscy mężczyźni są potencjalnymi homoseksualistami; na ogół brak im tylko świadomości tego faktu — jakichś okoliczności, które by im to uprzytomniły. Stwierdzają to sami homoseksualiści — dla nich jest to oczywiste. Potwierdzają to również kobiety — te, które z nimi obcują i kochają ich.

Ukryty pedał — hałaśliwy, natrętny, czarujący, wielbiony przez wszystkich — samym swoim ciałem i umysłem dowodzi, że organiczna, „braterska” sprzeczność między mężczyzną a kobietą umarła, że kobieta, jako element drugorzędny, zniknęła.

Książka, o której mowa, nie jest tylko wynikiem faktycznego doświadczenia, lecz intuicji — czegoś w rodzaju olśnienia w widzeniu tego, co

zachodzi między mężczyznami. Inaczej mówiąc, nie wynika ona bynajmniej z osobistej znajomości mężczyzn i ich kondycji; jest wyrazem pewnej oczywistości. I oczywistości tej nie staram się nawet ubierać w słowa. W chwili, gdy wiem, co to jest, nie znajduję już na to słów. Po prostu tak jest — nie sposób już tego nazwać, by się przybliżyć do tego, można najwyżej — niejako z oddalenia — posłużyć się metaforą. W żadnym jednak wypadku nie powtarzam tu tego, co wcześniej powiedziałam w *Chorobie...* Teraz mówię tak: różnica tkwi w jednym słowie, tyle że nikt nie wie, w którym; kryje się w cieniu, który spowija słowo; w sposobie jego wypowiedziania. Nagle jakiś najzwyczajniejszy kolor — niebieski — staje się brzydki. Różnica niby niewielka, a jednak zasadnicza. A może, z drugiej strony, równie prawdopodobne — brak cienia — wszędzie: na łądzie i na morzu. Lekko szklisty wzrok sygnalizujący brak miłości.

Wyobraźnia najsilniej działa między kobietą a mężczyzną. Dzieli ich bowiem oziębłość, na którą kobieta coraz częściej się powołuje, a która mężczyzn, odczuwających pożądanie, paraliżuje. Kobieta nie wie zazwyczaj, co właściwie pozbawia ją pożądania. A jeszcze częściej nie ma nawet pojęcia, czym pożądanie w ogóle jest, na czym ono polega. Sądzi, że aby je odczuwać — aby odczuwać „to, co inne kobiety” — musi robić pewne rzeczy. Wszystko, co można w tym punkcie powiedzieć, sprowadza się do stwierdzenia, iż wyobraźnia działa najsilniej tam, gdzie nikt się jej nie spodziewa. Właśnie w warunkach oziębłości. Oziębłość to też pożądanie, tyle że zamaskowane — tak właśnie kobieta pożąda, a ściślej: wyobraża sobie, że niby nie pożąda mężczyzny, który się do niej zaleca. Oziębłość — to pożądanie mężczyzny nieznanego: takiego, który się jeszcze nie zjawił. To wierność owemu nieznanemu, wierność niejako na wyrost, jeszcze przed poznaniem. Oziębłość to nie-pożądanie wszystkich, którzy nie są tamtym. Kresu oziębłości nie daje się przewidzieć, jest on nieokreślony — i mężczyzna nie może tego zrozumieć. Kres oziębłości to początek pożądania wobec jednego, jedyne kochanka — bez względu na to, kim jest i jaki jest, bez względu na jego pochodzenie społeczne. Jeśli pożąda właśnie jego, zostanie jej kochankiem. To nieuchronne bezgraniczne oddanie się jednej tylko istocie jest cechą typowo kobiecą.

Pożądanie, jakie odczuwają wobec siebie kochankowie heteroseksualni, sprawia nieraz, że — gdy zmieniają partnerów — stają się nagle oziębli (on — nawet impotentem), jakkolwiek u mężczyzn zdarza się to zdecydowanie rzadziej.

Uwagi te, choć nieco ogólnikowe, a przy tym niezbyt miłe, dotyczą wszelako samej istoty rzeczy.

Heteroseksualizm jest niebezpieczny. Stwarza pokusę doskonałego dualizmu pożądania.

W miłości heteroseksualnej nie ma rozwiązania. Męskość i kobiecość nie dają się ze sobą pogodzić. Wszelka próba przewyciężenia tej sprzeczności musi zakończyć się fiaskiem. I to skazanie na fiasko, powtarzające się nieodmiennie w każdym kolejnym związku, nadaje miłości heteroseksualnej blasku.

Natomiast w miłości homoseksualnej namiętnością jest sam homoseksualizm. Homoseksualista kocha naprawdę — tak jak kochanka, ojczyznę, sztukę czy ziemię rodzinną — sam homoseksualizm.

Pożądanie kobiety wobec kochanka ogniskuje się w przestrzeni vaginy i stamtąd — niczym echo — rozchodzi się po całym ciele. Jest to miejsce-brak, miejsce–nieobecność „naszego”, „tylko naszego” członka. Nie oszukujmy się: gdy miejsce to jest zarezerwowane tylko dla jednego, „naszego” mężczyzny (tego, który jest akurat naszym kochankiem), nie możemy sobie wyobrazić tam członka nikogo innego. I jeśli dotyka nas inny mężczyzna, krzyczymy w oburzeniu. Jest to forma posiadania: on jest „nasz”, tak jak my jesteśmy „jego”. Posiadamy się nawzajem. Miejsce, w którym dokonuje się ów akt posiadania, jest absolutnie subiektywne. Nasz kochanek daje się nam tam najdotkliwiej we znaki. A my błagamy go, by czynił to w ten sposób, iżby echo tej burzy rozchodziło się po całym ciele i zagłuszyło naraz sam umysł. To właśnie tam chcemy umrzeć.

Pisarz, który nie miał kobiet, który nigdy ich nie dotykał, a może nawet nie przeczytał nigdy książki ani wiersza napisanego przez kobietę, myli się, jeśli sądzi, że jest pisarzem z prawdziwego zdarzenia. Nie można być intelektualnym autorytetem — choćby tylko dla siebie równych — jeśli się nie ma pojęcia o rzeczach tak podstawowych. Odnoszę się z życzliwością na przykład do Rolanda Barthesa, nigdy jednak nie mogłabym odczuwać wobec niego podziwu. Wydawał mi się zawsze nazbyt ostrożny i profesorski, sterylnie akademicki. Po serii jego *Mitologii* nie mogłam go już czytać. Gdy zmarł, usiłowałam przeczytać książkę o fotografii, nie byłam jednak w stanie przez nią przebrnąć — z wyjątkiem pięknego rozdziału o jego matce, owej wielbionej przezeń jedynej towarzysze i bohaterce jego szalonego życia. Potem próbowałam przeczytać jeszcze *Fragments d'un discours amoureux* (*Fragmenty rozprawy o miłości*), lecz też nie dałam rady. Bezsprzecznie, jest to błyskotliwe. Zapiski o miłości — z pewnością, o miłości. Jednak fakt, że je napisał, nie oznacza, że kiedykolwiek kochał — tak mnie się w każdym razie wydaje. Czarujący człowiek — na pewno. Umiejący pisać — bez wątpienia. Otóż to! A jednak autor dzieła sztywnego, „papierowego”.

Ludzie, nawet jeśli należą do jakiejś sekty religijnej, nie mogą nie otwierać się na nieznanne. Nieznane przychodzi tak czy owak i odmienia wszystko. Prawo też trzeba wciąż modyfikować i czynić elastycznym, by nowe zjawiska nie zatarły mechanizmów wolności. Trzeba otwierać się na to, co bezbożne i zakazane, aby Nieznane mogło się w ogóle uobecnić i dawać poznać. Roland Barthes wszedł w dorosłość zapewne wprost z wieku dziecięcego, nie zaznawszy nigdy niebezpieczeństw okresu dojrzewania.

Mężczyźni uważają często, że sceny erotyczne w moich książkach wynikają z uprzedzeń. Przebierają we wszystkim, co czytają, we wszystkim, co robimy. I wysmiewają się z wszelkich zachowań seksualnych odmiennych od ich własnych. Niektórych mężczyzn zbulwersowała para opisana w *Kochanku*: biała dziewczynka i jej chiński chłopiec. Powiadają, że przerzucają wtedy strony albo przymykają oczy. Zamykać oczy podczas lektury! Dla nich *Kochanek* to wyłącznie ta zwariowana rodzina, jazdy samochodem, prom, Sajgon nocą i cały ten kolonialny sos. Wszystko — tylko nie ta mała biała dziewczynka i jej chiński kochanek. Z drugiej strony, ta para w *Kochanku* wzbudza u bardzo wielu mężczyzn osobliwe pragnienie — wywodzące się z otchłani czasu i prądziejów ludzkości: pragnienie kazirodztwa i gwałtu. Dla mnie zaś to dziecko idące ulicami miasta, bulwarami pełnymi tramwajów, zaułkami, zatłoczonymi targowiskami — wyglądające jakby szło do szkoły, a w rzeczywistości zmierzające do mężczyzny, wypełniające niewolniczo swój obowiązek wobec kochanka — obdarzone jest wolnością, którą ja sama utraciłam.

Pamiętam dotyk rąk na ciele i chłód wody wylewanej ze słoja. Pamiętam upał — dziś trudny do wyobrażenia: ja jestem osobą, która pozwala się myć; on nie wyciera mojego ciała. Niesie mnie — wciąż mokrą — na połowe łóżko (drewno gładkie jak jedwab i chłodne) i włącza wentylator. Pochłania mnie siłą i delikatnością, która mnie niszczy. Moja skóra. I skóra mojego małego brata. Taka sama. I jego ręka. Też taka sama.

Według mnie, zachowanie mężczyzn wobec kobiet jest na ogół brutalne i despotyczne. Nie twierdzę, że są oni tacy — brutalni i despotyczni — niejako z natury rzeczy, lecz tylko że ten rodzaj zachowań określa ich właśnie w relacji z kobietami. Dzieje się zaś tak dlatego, że w relacji tej czują się niezręcznie. Są znudzeni, więc grają rolę. W związku z kobietą mężczyzna czeka tylko na stosowny moment — moment dla siebie najlepszy. I wcale nie wie, że tak postępuje. Liczba mężczyzn pozostających w związkach z kobietami, którzy właśnie i tylko tak czekają

(w salonach, na ławkach albo na ulicach) — sami, pozbawieni wspólnego języka ze swoimi partnerkami, a na dokładkę — nawet tego nieświadomi, wynosi przypuszczalnie, w skali świata, wiele, wiele milionów. Mężczyźni ci jednak mogą się od tego uwolnić i uwalniają się, gdy tylko odrzuca graną przez nich rolę.

Odpowiednikiem intymnej rozmowy między kobietami jest coś, czego mężczyźni doświadczają tylko z innymi mężczyznami. Rozmowa oznacza rozmowę o seksie. A rozmowa o seksie należy do sfery seksu. To nie to samo, co rozmowa o sporcie czy o biurze.

Wszystko psują kobiety. Między sobą rozmawiają tylko o praktycznej stronie życia. Nikt od nich nie oczekuje, by wgłębiały się w świat myśli. Mało która z nich zdaje sobie z tego sprawę. Przez wieki wiedzę na swój temat kobiety czerpały od mężczyzn, a mężczyźni mówili im, że są gatunkiem podrzędnym. Jednakże mowa, w warunkach „wydziedziczenia” i przemocy, jest o wiele swobodniejsza, nie wychodzi bowiem poza praktykalia. A ponadto jest znacznie starsza. Kobiety przez wieki, chcąc nie chcąc, były istotami, którym głównie zadawano ból. I trwało tak do chwili, gdy wszystko zostało wreszcie opisane w pierwszej książce poświęconej kobietom.

To kobiety, a nie mężczyźni, zachowały młodość i świeżość. W przeszłości nie miały o tym pojęcia.

Jest coś, co fascynuje nas nawzajem. Nasze podobieństwo. Niezależnie od tego, czy jest się kobietą czy mężczyzną, fascynacja powstaje z odkrycia podobieństwa.

Jeżeli jesteś mężczyzną, największą frajdę masz w towarzystwie mężczyźni. Odpowiada ono zarówno twemu sercu, jak ciału i płci. Tak uwarunkowany poznasz kobiety. I to ten inny mężczyzna — ten drugi, ten, który tkwi w tobie — żyje z twoją żoną. Stosunki, jakie ich łączą, są różnej natury — mogą być zwykłymi stosunkami seksualnymi, mogą polegać na wymianie wzajemnych usług, zasadać się na sprawach kulinarnych, mogą być wreszcie prawdziwą miłością lub namiętnością — taką, z której rodzą się dzieci i powstają rodziny. Ale mężczyzna numer jeden prawdziwe stosunki utrzymuje tylko ze swymi braćmi—mężczyznami. Odprężającej paplaniny żony słucha się jako całości nie wchodząc w szczegóły, jakby to był stale powtarzający się refren. Kobiet się nie słucha. Nie przywiązuje się wagi do tego, co mówią. Trudno mieć o to pretensję. Kobiety wciąż jeszcze bywają nudne, a wiele z nich boi się zerwać raz ustalony porządek. Ty też nie miałbyś na to ochoty. Francuska burżuazja wciąż chciałaby, by kobiety traktować jako byty podrzędne. Ale dziś kobiety wiedzą już, co jest co. Odchodzą,

opuszczają mężczyzn. I są z tym o wiele szczęśliwsze niż dawniej. Przy swoich mężczyznach każda z nich grała jakąś rolę. W wypadku homoseksualistów — mniejszą, niemniej jednak jakąś.

U mężczyzn przejście z heteroseksualizmu do homoseksualizmu oznacza poważny kryzys. Trudno sobie wyobrazić większą zmianę. Mężczyzna przestaje się znać. To zupełnie, jakby się ponownie urodził. W większości wypadków nie potrafi kontrolować, ani też nie rozumie tego kryzysu. Przede wszystkim nie rozumie, co się w ogóle dzieje, gdyż z początku odrzuca samą myśl, że mógłby być homoseksualistą. Jeśli zaś idzie o żonę — ona wie: dowiedziała się od niego lub innych ludzi, czasem od przyjaciółek. Zaczyna wszystko „rozumieć”. Wszystko, co kiedyś powiedział czy zrobił, jawi się jej teraz w nowym świetle. Mówi więc: „Tak pewnie było zawsze, tylko on nie zdawał sobie z tego sprawy”. A teraz dotarło to do niego, a także do wszystkich.

Będzie to największy kataklizm, jaki się kiedykolwiek wydarzył. Na początku zmiany dokonywać się będą tylko pod powierzchnią. Niewielki spadek liczby ludności. Ludzie przestaną pracować. Zacznie brakować rąk do pracy. Nastąpi masowa imigracja, by zapewnić dość rąk do pracy. Potem nikt nie będzie wiedział, co robić. Może po prostu wszyscy będą czekać, aż ludność w ogóle zaniknie. Prześpią czas oczekiwania. Śmierć ostatniego człowieka przeszłaby niezauważona. Lecz może pojawiłoby się jacyś heteroseksualiści i wszystko zaczęłoby się od początku.

Tak, trudno jest mówić o seksie. Nim mężczyzna zostanie hydraulikiem, albo pisarzem, kierowcą taksówki, bezrobotnym czy dziennikarzem, jest mężczyzną. I nie jest tu istotne czy heteroseksualistą, czy homoseksualistą. Jedyne, co ich różni, to to, że niektórzy przypomną ci o tym, jak tylko cię poznają, a inni trochę z tym poczekają. Trzeba ich bardzo lubić. Naprawdę bardzo ich lubić. Trzeba ich bardzo lubić, aby ich kochać. Inaczej są nie do wytrzymania.

przełożyła Elżbieta Jasińska